

„Mam przekłętę polskie serce
i nie potrafię go z siebie wyrwać”

Niemka

OPOWIEŚĆ O POLSKIEJ NIEMCE,
KTÓRA MUSIAŁA DOKONAĆ OSTATECZNEGO WYBORU

WOJCIECH DUTKA

LIRA
WYDAWNICTWO

Niemka

WOJCIECH DUTKA

Niemka

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2024

ISBN: 978-83-67915-54-0

PROLOG

*BERLIN, WIĘZIENIE PLÖTZENSEE,
GRUDZIEŃ 1944*

Do więzienia Plötzensee latem tysiąc 1944 roku przyjechała w więźniarce kobieta, którą aresztowano w Berlinie za domniemany udział w zamachu z 20 lipca. Pochodziła z Litzmannstadt, czyli polskiej Łodzi, zaanektowanej przez Niemcy na początku wojny. Kobiętę uznano za wyjątkowo groźną zdrajczynię — *die Verräterin*. Jej sprawę miał wkrótce rozpatrzyć sąd ludowy — *der Volksgerichtshof*, jedno z najbardziej brutalnych narzędzi reżimu hitlerowskiego do rozprawiania się z wrogami wewnętrznymi, nieliczną niemiecką opozycją, zarówno cywilną, jak i wojskową, szczególnie po nieudanym zamachu na Adolfa H. w lipcu tego roku.

Kobieta trafiła tu w wyniku głębokiego i szeroko zakrojonego śledztwa łódzkiego Gestapo, które wpadło na ślad jej zdrazieckiej działalności już w 1941 roku, ale przez lata nie miało żadnych podstaw, by wytoczyć sprawę wzorowej — jak się wydawało — niemieckiej kobiecie i obywatelce Rzeszy. W więzieniu przetrzymywano ją w izolacji, aby nie mogła się z nikim kontaktować. Jej męża stracono już wcześniej za udział w spisku Stauffenberga — od tamtej pory była pod ścisłą obserwacją Gestapo. W akcie oskarżenia podano zdradę Führera i niemieckiej ojczyzny, ale — co najgorsze — wskazano także na jej kontakty z polskim podziemiem.

Właśnie to — oprócz głównego zarzutu, zdrady Adolfa H. — stało się powodem szczególnie zajadłych ataków osławionego sędziego Freislera podczas publicznych przesłuchań.

Zdumienie u najkrwawszego sędziego Führera wywołał protest kobiety przeciwko lżeniu jej przez niego. Do wściekłości natomiast — do szewskiej pasji niemal — doprowadziła go oskarżona odpowiedzią na pytanie, czy zdradziła niemiecką ojczyznę. Otóż oświadczyła ona, że nie, gdyż zawsze uważała się za Polkę, a więc w myśl nazistowskiej ideologii istotę niższą rasowo od Niemców. Sędzia Freisler dodał zatem do aktu oskarżenia wyparcie się niemieckiej narodowości i krwi niemieckiej, co równało się zbrodni obrazy czci niemieckiej. Na to kobieta w najczystszy niemieckim rzuciła mu w twarz:

— Pierwsze słyszę, żeby sędzia w praworządnym państwie sam uzupełniał akt oskarżenia, który ma być dziełem prokuratora. Łącząc funkcję sędziego i prokuratora, udowadnia pan, że nie jest żadnym sędzią, a to zgromadzenie nie jest sądem.

— Dość!!! Przekłeta zdrajczyni!!! — wrzasnął Freisler.

Postępowanie miało się toczyć dalej bez obecności oskarżonej, którą sędzia wykluczył z udziału w jej własnym procesie. Jednak z niewiadomych powodów spodziewany wyrok śmierci nie zapadł. Oskarżona została natomiast wysłana do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück jako polska więźniarka polityczna. Niemka stawała się Polką — a może już wcześniej nią była?

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ I *Absolwentki*

WARSZAWA, MAJ 1938

Nadszedł czas matur. Magdzie Pohl kwitnące kasztanowce zawsze wydawały się niedoścignionym wzorem piękna. Kwiat był nietrwały, ale pachniał niezwykle. Dziewczyna kończyła dwuletnie liceum ogólnokształcące* im. Królowej Jadwigi i w klasie miała dwie najserdeczniejsze przyjaciółki — Wandzię Brychczyńską i Lidkę Rosenman. Były siostrzanymi duszami i czas im upływał nie tylko na nauce — prestiżowe liceum było bardzo wymagającą szkołą żeńską — ale także na lekturze. Czytały powieści romantyczne z poprzedniego wieku: dzieła sióstr Brontë oraz powieści Jane Austen. Sięgały też po klasykę powieści grozy — uwielbiały powieści Edgara Alana Poe. Kiedyś Lidka przyniosła też zakupioną przez jej rodziców w Paryżu powieść Brama Stokera o wampirze**. Przekomarzając się o sens

* Takie szkoły, przygotowujące do bardzo trudnej matury, powstały w wyniku reformy edukacji.

** Chodzi o wydaną w 1987 roku gotycką powieść *Dracula*.

tej klasycznej opowieści, rozważały, czy miłość jest potężniejsza od śmierci oraz czy istoty złe potrafią kochać.

Magdalena Pohl nie była z urodzenia warszawianką. Pochodziła z Łodzi, ze znakomitej mieszczańskiej rodziny niemieckiej, osiadłej w tym mieście i prowadzącej tam interesy. Uwielbiała powieść Reymonta *Ziemia obiecana*, ale nie odpowiadał jej robotniczy charakter miasta. Z tego też powodu jej ojciec, Alois Pohl, łódzki przedsiębiorca tekstylny, właściciel fabryki, pozwolił córce pojechać do warszawskiego liceum. Magdalena uważała, że dwa lata w Warszawie były do tej pory najlepszymi w jej życiu. Znalazła tu przyjaźń — Wandzia i Lidka miały podobny gust, a tutejsze teatry i rewie, na które dziewczyny nie skąpiły sobie pieniędzy, dostarczały rozrywki na najwyższym poziomie intelektualnym. Teraz żałowała, że wspólny czas tak szybko przeminął.

✱

Tego majowego dnia 1938 roku przyjaciółki umówiły się w eleganckiej kawiarni u Bliklego na Nowym Świecie. Były już wszystkie po egzaminach. Magdalena bardzo lubiła to miejsce — podawano tu najlepsze w całym mieście pączki i kawę. W kątach, w wielkich donicach, rosły duże paprocie i drzewka cytrusowe, a w kryształowych lustrach od braci Łopieńskich odbijały się tapety od Franaszka i jej postać — blondynki średniego wzrostu, z włosami spiętymi w kok. Zawsze była pierwsza, obojętnie, czy umawiała się w kinie, teatrze czy

restauracji. Wynikało to z wpojonej jej przez rodziców punktualności. Magdalena weszła do Bliklego i upewniła się, że mają wolny stolik na trzy osoby. Usiadła obok wielkiej paproci, przy otwartym oknie, gdyż dzień był bardzo ciepły, i zamyśliła się.

Wszystkie trzy szalenie się zaprzyjaźniły w czasie nauki w liceum. Były razem w klasie profesorki Wandy Łempickiej, której sława nie wynikała bynajmniej z nazwiska jakże podobnego do słynnej Tamary. Łempicka była niezwykle wymagającą matematyczką, przygotowała je do trudnego polskiego egzaminu z tego przedmiotu. „Wymagam od was tyle, ile wymagałabym, ucząc w liceum męskim”, powtarzała, jednak jako wychowawczyni nie była aż tak surowa. Dziewczęta bardzo sobie ceniły jej wyrozumiałość i sprawiedliwość. Dla Magdy była kimś w rodzaju przewodnika po wiedzy. To Łempicka pokazała jej, że matematyka jest sztuką, z której utkana jest rzeczywistość otaczającej nas materii. Razem przeszły przez ułamki, rachunek prawdopodobieństwa, geometrię, potem trygonometrię i elementy matematyki wyższej — rachunki różniczkowy i całkowity.

— Dziękuję pani profesor za wszystko — powiedziała jej podczas pożegnania Magdalena Pohl. — Była pani mistrzynią. To dzięki pani pójdę na architekturę.

Profesor Łempicka uśmiechnęła się.

— Magdo, jesteś bardzo zdolna, tylko czasy mamy nieciekawe. Mam nadzieję, że w dalekiej Szwajcarii zrobisz wiele dobrego i przysporzysz mi dumy.

— Dobra nauczycielka jest na wieczność. — Mówiąc to, Magdalena nie wiedziała jeszcze, że spotka swoją

profesorkę w zgoła innych okolicznościach i wówczas całki i różniczki będą stanowiły abstrakcję zupełnie nieprzystającą do rzeczywistości.

Trzy dziewczyny połączyła nieco może dziwna przyjaźń — tak bardzo się różniły i tak odmienne miały uzdolnienia. Magdalena wybierała się na architekturę. Wandzia Brychczyńska chciała być lekarzem, celowała w kierunek lekarski w Warszawie. Natomiast Lidka Rosenman — humanistka, która wiele wycierpiała na lekcjach matematyki u Łempickiej, ale na koniec dostała jednak dostateczny, co było dużą sztuką — chciała studiować malarstwo we Lwowie w tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych. Tak z grubsza prezentowały się plany dziewczyn na studia. Wszystkie pochodziły w dobrych domów i miały spore ambicje.

Prawie punktualnie — zmieściły się w kwadransie akademickim — przybyły Wanda i Lidka.

— Jesteście! — ucieszyła się Magdalena. — Zamówiłam kawę i pączki.

— Jeszcze kilka takich pączków od Bliklego i nie zmieszczę się w sukienkę — zauważyła Wanda.

— Twoje obawy są stanowczo na wyrost — uspokoiła ją Lidka.

Zaśmiały się radośnie. Ich uroda przykuła uwagę męskiej części gości kawiarni Bliklego. Może starsi panowie przypomnieli sobie siebie samych z czasów, gdy Blikle otwierał tę kawiarnię, jeszcze w czasie zaboru rosyjskiego? Jednak trzy młode kobiety skupione były na sobie.

— Matura poszła nam dobrze — zaczęła Magdalena — i chciałabym wam coś powiedzieć.

— Zabrzmiało to jak „żegnamy się na dłużej”. — Wanda popatrzyła na nią z niepokojem.

— No wiesz?

— Tak to zabrzmiało — odpowiedziała Lidka.

Magdalena poczuła się trochę skonfundowana domyślnością przyjaciółek.

— Miałam wam powiedzieć w Łodzi... W ogóle od tego zacznę. Zapraszam was do mnie, do Łodzi, z okazji moich urodzin. I tak, wyjeżdżam na studia. Za granicę.

— Pewnie do Niemiec — powiedziała Wandzia Brychczyńska.

— Nie wierzę! Magdalena będzie studiowała poprawną rasowo architekturę w Niemczech! — odparowała Lidka.

Dziewczyny doskonale wiedziały, że Magdalena pochodziła z jednej z najbardziej szanowanych niemieckich rodzin w Łodzi. Jej przodkowie osiedlili się tam w latach sześćdziesiątych XIX wieku, już po powstaniu styczniowym, i szybko pięli się w górę bankiersko-fabrykanckiej elity miasta. Ojciec Magdy był właścicielem dużej fabryki tekstylnej, produkującej sukno na eksport oraz na potrzeby krajowe, również wojska polskiego. Jego zakład zatrudniał pięciuset ludzi, głównie kobiet ze sfer robotniczych Łodzi. Magdalena nigdy zatem nie narzekała na brak pieniędzy.

— Masz rację, Lidko — powiedziała teraz, wywołana niemal jak do tablicy. — Nie mogłabym pojechać do Niemiec, choć jeśli chodzi o język, nie miałabym żadnych problemów. Wybrałam Szwajcarię, politechnikę w Zurychu.

— To pięknie. — Lidka się uśmiechnęła. — Idziesz w ślady prezydenta Narutowicza.

Rzeczywiście — pierwszy wybrany przez Zgromadzenie Narodowe prezydent Polski był kiedyś profesorem politechniki w Zurychu. Ale jego śmierć w grudniu 1922 roku nie miała już dla dziewczyn znaczenia sentymentalnego.

— Nie ujęłabym tak tego, ale owszem, jesienią jadę do Szwajcarii. Tak się składa, że w następną niedzielę będziemy obchodzić moje urodziny i chciałabym świętować je z wami, w Łodzi.

— To wspaniale! — Wanda szczerze się ucieszyła.

Brychczyńska i Rosenmanówna nie pochodziły z aż tak bogatych domów, więc perspektywa odwiedzin u Magdy była dla nich bardzo kusząca. To popołudnie przegadały o wszystkim i o niczym. Prawie dwie godziny poświęciły na dywagacje o kabarecie *Qui Pro Quo* oraz o *Skleпах cynamonowych* Brunona Schulza, który — wypromowany przez Zofię Nałkowską — stał się pisarzem poczytnym, analizowanym i omawianym. Jednak to nie był jeszcze koniec niespodzianek na ten wieczór.

W pewnej chwili, gdy już nasyciły się kawą i pączkami, Magdalena rzuciła:

— Wasi braci też są zaproszeni.

Rzeczywiście — Wandzia Brychczyńska miała brata bliźniaka, Stefana, który chodził do równoległej klasy w znakomitym warszawskim Liceum im. Stefana Batoryego. A Lidki brat, Poldek, chodził do klasy ze Stefanem. Tak się ułożyło, że obie jej przyjaciółki miały

braci w równym wieku. Wszyscy więc zdawali maturę w maju 1938 roku.

— Dobrze, przekazemy — powiedziała Wanda.

Ona wiedziała, że pomiędzy Magdą i Stefanem zaczęło się to nieokreślone „coś”, co nie jest jeszcze w żadnym wypadku zakochaniem, ale tym, co Lidka nazwała „przedzakochaniem”. W tym stanie niepokój i zaintrygowanie wywołuje każda informacja o obiekcie zainteresowania. Wandzia tymczasem cieszyła się z tego zaproszenia, ponieważ ów osobliwy stan udzielił się także jej. Widziała kilka razy brata Lidki, Poldka. Byli razem na jakiejś prywatce w willi na Ochocie kilka miesięcy temu i od tego czasu Magdalena powracała myślami do Stefana Brychczyńskiego, a Wandzia — do Poldka. Dziewczyny nie potrafiły nazwać tego, czego pragnęły. W ich świecie, gdzie wciąż liczyły się konwenanse i fasada relacji, nie mogły sobie pozwolić na to, na co pozwalali sobie Nałkowska czy aktorzy warszawskich teatrów. Mieszczańskie pochodzenie — mieszczańskie zasady. Zasada to fasada. Dokładnie tak jak w *Granicy Nałkowskiej*, powieści, o którą o mały włos się poważnie nie pokłóciły. Bo takie to było pokolenie, które potrafiło się poróżnić o książki albo o rolę Dymyzy, pośpiewać piosenki Hanki Ordonówny, upić się na umór jarzębiakiem nad Wisłą na plaży i kochać do szaleństwa tylko dlatego, że raz jeden ktoś na kogoś popatrzył. Trzy dziewczyny, pochodzące z trzech różnych gałęzi, które najpewniej nigdy się ze sobą nie zetknęły — a jednak były częścią tego samego drzewa.

Po spotkaniu z przyjaciółkami Magdalena miała pewność, że niedługo je ujrzy w towarzystwie ich braci. Nazajutrz przyjechał do Warszawy szofer ojca i zabrał ją do Łodzi. Zawsze miała ambiwalentne uczucia, gdy wracała do domu. Była jedynaczką, a to zwykle sprawia, że więź z rodzicami jest albo bardzo silna, albo wprost przeciwnie — niezwykle słaba. Dziewczyna dość wcześnie straciła matkę. Urodziła się w roku odzyskania przez Polskę niepodległości, jednak szalała wtedy grypa hiszpanka i sześć miesięcy po jej przyjściu na świat kobieta zmarła. Yvonne pochodziła ze szwajcarskiego kantonu Neuchâtel. Podobno była tancerką, ale ojciec nie lubił jej wspominać. Zawsze tłumaczył, że to dla niego zbyt bolesne. Kiedy Magdalena miała dziesięć lat, ożenił się po raz drugi — z Jadwigą, warszawską aktorką. Chyba niezbyt dobrą, bo nie grała za często, ale za to całe dnie spędzała na przeglądaniu prasy kobiecej albo u fryzjera. Jednak stała się dla Magdy przyjaciółką. Umiała słuchać i można się było przy niej wygadać. Natomiast z papą, jak mówiła o ojcu Magdalena, można było się dogadać — nie umiał niczego córce odmówić. Jednak dziewczynie wydawało się, że mimo poprawnych, a nawet serdecznych relacji ojciec w gruncie rzeczy zawsze był sam. Niby istniał, jego obecność wyciskała piętno na pałacu Pohlów w Łodzi, ale Magdalena wewnątrz nie czuła, że go naprawdę spotkała jako człowieka. Miała też wrażenie, że jej problemy go nie interesują. Pochłaniały go przede wszystkim interesy, a ostatnie dziesięć lat pojawiał się w domu głównie w niedzielę.

— Kryzys, córeczko, kryzys. Muszę dbać o ciebie, ptaszynko — mawiał.

— Co to ma wspólnego ze mną, że nie ma cię w domu przez całe dni?

— Papa pracuje — tłumaczył Alois. — Muszę dbać o interesy. Klóczę się z głównym technologiemy włókiennictwa, Szlajerem, o nowe materiały, w tym jutę, którą sprowadzano do niedawna z Chin. Ale tam trwa wojna z Japończykami.

— Co mnie to obchodzi, papo! Nie ma cię przy mnie — odpowiadała niezadowolona.

Magdzie obijało się wprawdzie o uszy, że papa jeździł w interesach do Niemiec, ale co tam robił, z kim się spotykał — nie chciała wiedzieć. Miała naście lat i czuła się samotna, dlatego z wielką radością przyjęła informację, że będzie mogła uczęszczać do liceum w Warszawie. To oznaczało wyjazd z domu, gdzie wiało nudą — i życie na stacji! Dlatego gdy dwuletni pobyt w stolicy się skończył, poczuła, że coś straciła. Lubiła samodzielne życie. Nie musiała się przejmować pieniędzmi, bo papa o nią dbał. Tysiąc złotych w tę czy w tamtą stronę nie robiło różnicy.

A teraz nieodwołalnie Magdalena wracała do domu.

★

ŁÓDŹ, MAJ 1938

Na parkingu przed willą Pohlów w Łodzi do auta podszedł osiemnastoletni Romek Popiołek. Pracował u nich

jako sprzątacze, wynosił śmieci, pucował okna, meble — w zamian za kąpiel do spania. Jego matka była kucharką u Pohlów od zakończenia wielkiej wojny w 1918 roku. Mieszkała w pokoju za kuchnią, a ponieważ chłopak wyrósł i miejsca u matki zrobiło się mało, przeniósł się do pokoiku obok składu z węglem. Zimą było tam przytulnie, gdyż obok znajdowała się kotłownia.

Romek sprawnie otworzył drzwi auta.

— Witamy panienkę Magdalenę w domu — powiedział uprzejmie.

— Dziękuję — odparła, zupełnie nie zauważając, jak się w nią wpatruje. Miała głowę zajęta planowaniem przyjęcia pożegnального, na którym wreszcie zdobędzie serce Stefana Brychczyńskiego i zachwyci przyjaciółki. A potem wyjedzie na studia do Szwajcarii. — Niech Romek zanieś moje rzeczy do pokoju.

Zachowanie Magdy było typowe dla jej sfery, bardzo bogatego mieszczaństwa. W domu Pohlów obowiązywała zasada, że działanie dobrej służby ma być widoczne, podczas gdy ona sama — niekoniecznie. Romek patrzył na nią jak na bóstwo, gdyż dla takiego chłopaka dziewczyna jej pokroju tym właśnie była: boginią gracji, szyku, smaku i seksapilu. Wykonał więc to, czego oczekiwała, bez słowa, ale z tłumionym pragnieniem jednego ludzkiego gestu, prostego i nic niekosztującego słowa „dziękuję”. Istniał gdzieś obok niej, w świecie zapomnianych i zużywanych przedmiotów, przybłąkanych kolorów, resztek z pańskiego stołu, pokoiku obok składu węgla.

Magdalena poszła do swojego pokoju. Było jeszcze przed południem, więc to oczywiste, że ojciec przebywał w fabryce, która była jego właściwym życiem, małżeńskim łóżem i zarazem najukochańszym dzieckiem. Jadwiga pewnie wyruszyła gdzieś na miasto, by zebrać najświeższe ploteczki, więc dziewczyna udała się do łazienki, by się wykąpać po podróży — tego dnia było znów niezwykle upalnie. A ona zawsze dbała o siebie.

Romek Popiołek skorzystał z okazji, że tego dnia ani pana, ani pani Jadwigi nie było w domu. Zawsze bardzo mu się podobał przestronny i ze smakiem urządzony pałac Pohlów. Uważał, że wiele z tego dobra powinno się należeć jego matce za tyle lat ciężkiej pracy. Ale tego dnia, idąc bardzo cicho korytarzem w stronę łazienki, gdzie brała kąpiel panienka, mniej zastanawiał się nad aspektami materialnymi. Sama myśl o tym, że ona tam jest — i to naga! — sprawiła, że poczuł potężną i nieokiełznaną siłę, dotąd spokojnie w nim drzemającą. W umyśle i sercu chłopaka narastał powoli bunt. Ośmielił się marzyć, że to wszystko — te wspaniałości z ich domu — będzie jego, a nade wszystko ubzdurał sobie, że sama panienka będzie jego. Wiele razy sobie wyobrażał, że widzi ją nagą i skrępowaną powrozem, ale nigdy się nie odważył zajrzeć do łazienki, gdy się kąpała.

Zażywająca relaksu w wodzie Magda Pohl nie miała zupełnie świadomości, że pod dachem jej domu czai się mrok ukryty w sercu prostego służącego. Nic dziwnego — w tej epoce Popiołek znaczył tyle co krzesło. A nawet mniej.

Gdy Magdalena była dzieckiem, uwielbiała spotkania z papą. Rozpieszczał ją, przez lata cieszyła się wszystkimi tymi czułymi słówkami i prezentami. Jednak z czasem ojciec zgorzkniał i zdystansował się. Dzięki wyjazdowi do Warszawy zrozumiała, że jego prawdziwym domem była fabryka, do domu zaglądał rzadko i od niechcenia. Kiedy przebrała się po kąpieli, poszła do jego gabinetu, gdyż wydawało się jej, że poczuła charakterystyczny zapach wody kolońskiej ojca i dobrych włoskich cygaretek, które namiętnie palił. Zastała go w gabinecie pochylonego nad papierami. Nawet nie zauważył, że stanęła w drzwiach.

— Zastanawiam się, papo, kiedy zarejestrujesz, że wróciłam do domu na moje urodziny — odezwała się w końcu.

Alois Pohl podniósł wzrok. Uśmiechnął się natychmiast.

— Och, przepraszam, córeczko, wiesz, że fabryka jest moim życiem...

— Ale ja też jestem twoim życiem. I Jadwiga — zaproponowała Magdalena.

Ojciec podszedł i czule ją przytulił.

— Wybacz mi, córeczko... Czy miałaś dobrą podróż?

— Jak zawsze. Luksusową.

— Pamiętaj, córcia, że szofer jest do twojej dyspozycji cały czas. Gdybyś miała ochotę gdzieś sobie pojechać, korzystaj.

— Dziękuję, papo, ale zabrzmiało to tak, jakbyś miał mnie dość już teraz. A jestem w domu po raz pierwszy od dwóch lat. — Magdalena nie spodziewała się, że

powie coś takiego ojcu, ale uznała, że teraz jest na to najlepszy moment, zanim wyjedzie na dobre na studia do Szwajcarii.

— Nie miałem tego na myśli. Cieszę się, że jesteś. Owszem, poświęcam za dużo czasu na pracę, ale jak wiesz, w Niemczech zaszły głębokie zmiany.

— Co nas to obchodzi?

— Zadziwiasz mnie, moja droga. Jesteśmy Niemcami. To nasze korzenie.

— To prawda, ale nasza rodzina mieszka w Łodzi od siedemdziesięciu lat — skontrowała Magdalena. — Nie bardzo rozumiem, co mamy wspólnego z Niemcami Hitlera?

Ojciec utkwiał w córce badawcze spojrzenie. Może staremu lisowi przebiegło przez myśl, że rozmija się z nią nie tylko w sprawach bycia w domu, odczuwania, wspólnoty myśli, ale nawet w kwestii identyfikacji narodowej.

— Tak, córeczko, jesteśmy obywatelami Polski. Jednak fakty są takie, że Niemcy Hitlera są naszym sąsiadem, czy tego chcemy, czy nie. Mamy tam interesy.

Magdalena poczuła, że coś jest nie tak jak kiedyś.

— My? — zapytała. — Nie, ojcze. Tylko ty masz tam interesy. Ja nie mam żadnych i nie chcę ich mieć. Jestem dorosła.

Alois Pohl nie spodziewał się takiej postawy u córki. Nie zamierzał jednak się kłócić. Na niedzielę przyjeżdżało wiele ważnych osobistości, w tym niemiecki ambasador w Polsce, Hans-Adolf von Moltke, oraz koledzy i koleżanki córki. Stary Pohl uznał więc, że korzystniej będzie

załagodzić spór, zwłaszcza że Magdalena była przecież w wieku powszechnie uznawanym za buntowniczy.

— Owszem, jesteś dorosła — odparł, cedząc każde słowo. — Obiad o piętnastej. Będzie Jadwiga. Nie spóźnij się. Porozmawiamy potem. Jestem pewny, że twoje urodziny udadzą się wspaniale. Zjedzie się trochę gości, jak zawsze, ale pamiętaj, że papa przygotował też dla ciebie coś specjalnego.

I wrócił do swoich papierów.

— Oczywiście — odparła i zniknęła w przestronnym korytarzu.

★

— Dlaczego ojciec się tak zachowuje? — zapytała Magdalena drugą żonę swego taty, Jadwigę.

— To próżność. — Jadwiga paliła cienkiego, mentolowego papierosa w długiej szklanej lufce.

— Co proszę?

— Twój ojciec lubi się przegłądać w odbiciu swej władzy nad ludźmi. Dlatego wybiera zawsze fabrykę, potęgę i budowanie sieci kontaktów.

— Dlaczegoż więc za niego wyszłaś?

Jadwiga Pohl z domu Bielańska wstała z fotela i podeszła do Magdy.

— Bo kiedyś był innym człowiekiem. Nie wiem, na czym polega defekt jego serca. Staralam się, jak mogłam. Chciałam nawet urodzić mu dziecko, choć pewnie nie byłabyś z tego kontenta. Przyrodnie rodzeństwo jest takie trudne, Magdo. Ale on oddalił się ode mnie.